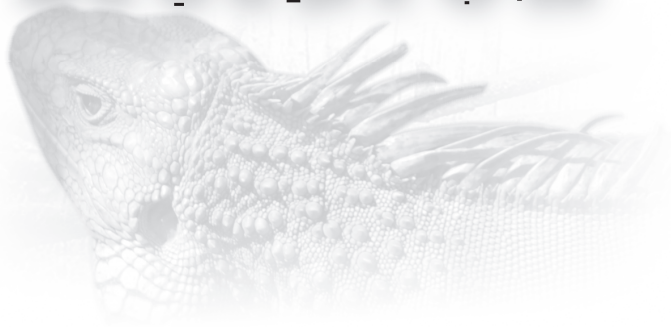


James Clavell

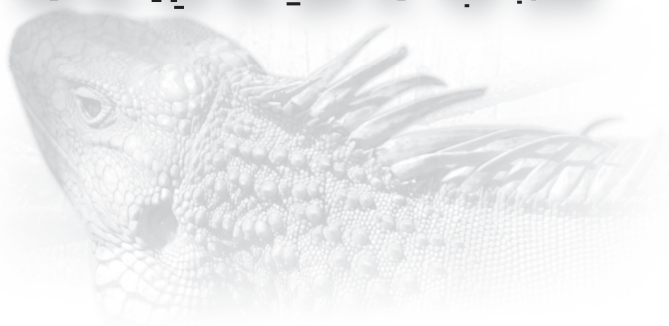
**KRÓL SZCZURÓW**





James Clavell

# KRÓL SZCZURÓW



Tłumaczenie:  
Małgorzata i Andrzej Grabowscy

vis-à-vis  
etiuda  
Kraków 2022

Tytuł oryginału:  
*King Rat*

Copyright © by James Clavell, 1962

Tym, co tam byli i już ich nie ma.

Tym, co tam byli i nadal żyją.

**Jemu**, ale przede wszystkim **jej**.



*Była wojna. Obozy Changi i Outram Road na Singapurze istnieją – albo raczej istniały – naprawdę. Reszta jest oczywiście zmyślona i osoby działające nie mają najmniejszego zamierzonego podobieństwa do nikogo z żyjących ani zmarłych.*





Changi przypominało perłę osadzoną na wschodnim krańcu wyspy Singapur i mieniącą się pod kopułą nieba tropików. Zajmowało niewielkie wzniesienie, otoczone pasmem zieleni; nieco dalej zieleń ustępowała miejsca zielonkawoniebieskiemu morzu, a morze gubiło się w niekończoności horyzontu.

Ale z bliska Changi traciło swój urok, stając się tym, czym było: plugawym, odrażającym więzieniem. Wokół bloków z celami – prażone słońcem podwórza, wokół podwórzy – wysokie mury.

Za tymi murami, w blokach, piętro po piętrze ciągnęły się cele, które mogły pomieścić dwa tysiące więźniów. Ale teraz w celach tych, na korytarzach, we wszystkich kątach i zakamarkach żyło tu około ośmiu tysięcy ludzi. Głównie Anglicy i Australijczycy, trochę Nowozelandczyków i Kanadyjczyków – niedobitki sił zbrojnych kampanii dalekowschodniej.

Ludzie ci byli na dodatek przestępcami. Popelnili ciężką zbrodnię. Przegrali wojnę. I mimo przegranej żyli.

Drzwi do cel pozostawiono otwarte, drzwi do bloków także, nawet olbrzymia brama przecinająca mur stała otworem i jeńcy mogli wchodzić i wychodzić niemal swobodnie. Lecz mimo to czuć tu było zaduch, jakiś klaustrofobiczny smród.

Za bramą ciągnęła się droga wysypana smołowanym żużlem. Sto metrów na zachód przecinała ją płatanina barier z kolczastego drutu, za którymi znajdowała się wartownia obsadzona uzbrojonymi strażnikami – odpadkami hord najeźdźcy. Minąwszy tę przeszkodę, droga podążała beztrąsko naprzód, aby po jakimś czasie zgubić się w gąszczu ulic Singapuru. Ale dla jeńców droga wiodąca na zachód kończyła się w odległości stu metrów od głównej bramy.

Ku wschodowi biegła wzdłuż muru, potem skręcała na południe i nie odstępując muru, podążała dalej. Po obu jej stronach stały szeregiem długie sutereny, jak nazywano prymitywne szopy. Wszystkie były jednakowe: długie na czterdzieści pięć metrów, ze ścianami splecionymi z liści palmy kokosowej, przybitymi byle jak do słupów, kryte strzechą również z liści

kokosu, ułożonych w spleśniałych warstwach jedna na drugiej. Nie zaniebano zwyczaju i co roku kładziono nową ich warstwę, jako że słońce, deszcz i owady pastwiły się nad strzechami, niszcząc je. Za okna i drzwi służyły zwykle otwory. Dla ochrony przed słońcem i deszczem strzechy wystawały daleko poza ściany szop, które stały na betonowych słupkach broniących dostępu powodziom, węzom, zabom, ślimakom, skorpionom, stonogom, żukom, pluskwom – wszelkiemu pełzającemu robactwu.

W szopach tych mieszkali oficerowie.

Na południe i na wschód od drogi stały w czterech rzędach, po dwadzieścia w każdym, betonowe domki zwrócone do siebie tyłem. Mieszkali w nich wyżsi oficerowie – majorzy, podpułkownicy i pułkownicy.

Dalej droga skręcała na zachód i biegnąc wzdłuż muru, napotykała jeszcze jeden szereg krytych palmowymi liśćmi szop. Służyły one za kwatery tym, których nie pomieściło więzienie.

Jedną z nich, mniejszą od innych, zajmowała grupa Amerykanów licząca dwudziestu pięciu żołnierzy i podoficerów.

Tam gdzie droga skręcała znów na północ, tuż przy murze znajdowała się część ogródków warzywnych. Pozostałe, które dostarczały większość obozowej żywności, leżały dalej na północ, po drugiej stronie drogi, naprzeciw bramy więzienia. Droga ciągnęła się jeszcze dwieście metrów przez mniejszy ogród i kończyła przed wartownią.

Cały ten przesiąknięty ludzkim potem skrawek ziemi o rozmiarach niespełna kilometra kwadratowego otaczała siatka z drutu kolczastego. Łatwo ją było przeciąć. Łatwo się przez nią przedostać. Prawie jej nie strzeżono. Nie było reflektorów. Nie było stanowisk karabinów maszynowych. Bo i cóż począłby uciekinier? Dom był daleko za morzami, za horyzontem, za bezkresnym morzem albo wrogą dżunglą. A przejście poza druty oznaczało nieszczęście, i dla tych, którzy by uciekli, i dla tych, którzy by pozostali.

W opisywanych tu czasach, w roku 1945, Japończycy wiedzieli już, że najlepiej jest pozostawić kontrolę nad obozem w rękach jeńców. Sami wydawali rozkazy, a za ich wykonanie odpowiedzialni byli jeńcy-oficerowie. Jeśli obóz nie przysparzał kłopotów, sam ich także nie miał. Za złe miano jeńcom prośby o jedzenie. Za złe prośby o lekarstwa. Za złe prośby o cokolwiek. Za złe to, że w ogóle żyli.

Changi było dla swoich mieszkańców więcej niż więzieniem. Changi było dla nich Genesis, miejscem, gdzie wszystko zaczyna się od nowa.

# KSIĘGA PIERWSZA



# I

– Dostanę tego przeklętego drania, choćbym padł.

Porucznik Grey cieszył się, że nareszcie wypowiedział na głos to, co od tak dawna ciążyło mu na żołądku jak kamień. Jadowity ton jego głosu wyrwał z zadumy sierżanta Mastersa, który myślał właśnie o butelce australijskiego piwa z lodu, o steku zwieńczonym sadzonym jajkiem, o swoim domu w Sydney, o żonie, o jej piersiach i o tym, jak pachniała. Nawet nie spojrzął w okno, przez które patrzył porucznik. I tak wiedział, kto właśnie idzie przez tłum półnagich mężczyzn ścieżką wydeptaną wzdłuż ogrodzenia z kolczastego drutu. Jednakże wybuch Greya zaskoczył go. Komendant żandarmerii obozu Changi był zwykle mało-mówny i nieprzystępny jak każdy Anglik.

– Niech się pan oszczędza, panie poruczniku. Tylko patrzeć, jak załtwią się z nim Japończycy – odezwał się Masters znużonym głosem.

– Pies trącał Japończyków – warknął Grey. – To ja chcę go złapać. Chcę go mieć tu, w tym areszcie. A kiedy już z nim skończę... chcę, żeby trafił do więzienia Outram Road.

– Outram Road? – spytał Masters i spojrzął na niego w osłupieniu.

– Oczywiście.

– Słowo daję, rozumiem, że chce pan się do niego dostać, no ale więzienia to bym nie życzył nikomu.

– Tam jest jego miejsce. I tam właśnie go wsadzę. To złodziej, kłamacza, oszust i pijawka. Przekłęty wampir, który żeruje na innych.

Grey wstał i podszedł do okna baraku żandarmerii, w którym było nieznośnie duszno i gorąco. Odpędził ręką rój much unoszący się nad drewnianymi deskami podłogi i zmrużył oczy, chroniąc je przed oślepiającym blaskiem południowego słońca padającego na ubitą ziemię.

– Jak Boga kocham, zemszczę się za nas wszystkich – przysiągł.

Powodzenia, bracie, powiedział w duchu Masters. Ty jeden możesz się dostać do Króla. Masz na to w sobie dość nienawiści. Masters nie

lubił oficerów ani żandarmerii wojskowej. Szczególnie zaś gardził Greyem, ponieważ ten był oficerem z awansu i ukrywał to przed wszystkimi.

Ale Grey nie był osamotniony w swojej nienawiści. Całe Changi nienawidziło Króla. Nienawidzono go za muskularne ciało, za niezmacony blask niebieskich oczu. W tym dogorywającym świecie półżywych nie było ludzi otyłych, dobrze zbudowanych, zaokrąglonych, gładko ogolonych, zgrabnych czy masywnych. Były tylko twarze zdominowane przez oczy i wynędzniałe tułowia – skóra okrywająca ścięgna, a ścięgna kości. Ludzie różnili się między sobą tylko wiekiem, twarzą i wzrostem. I w całym tym świecie jedynie Król jadł jak człowiek, palił jak człowiek, spał jak człowiek, śnił jak człowiek i wyglądał jak człowiek.

– Ej, wy tam, kapralu! – szczechnął Grey. – Do mnie!

Król był świadom obecności Greya już od chwili, gdy wyszedł zza rogu więzienia. Nie dlatego, że widział cokolwiek w ciemnym wnętrzu baraku żandarmerii, ale wiedział, że Grey ma swoje przyzwyczajenia. Kiedy ma się wroga, mądrze jest znać jego zwyczaje, stąd Król wiedział o Greyu akurat tyle, ile jeden człowiek może wiedzieć o drugim.

Zszedł ze ścieżki i skierował się ku samotnemu barakowi wyrosłemu jak krostka pośród wielu innych.

– Pan mnie wołał, panie poruczniku? – spytał, salutując. Miał uprzejmy uśmiech. Pogardliwe spojrzenie przesłaniały okulary przeciwsłoneczne.

Grey, stojąc w oknie, wpatrywał się z góry w Króla. Jego napięta twarz skrywała zakorzenioną w nim nienawiść.

– Dokąd to?

– Wracam do baraku, panie poruczniku – wyjaśnił ze spokojem Król, nie przestając się zastanawiać, o co właściwie chodzi. Zdarzyła się jakaś wpadka? Ktoś doniósł? Co się stało Greyowi?

– Skąd macie tę koszulę?

Król kupił ją poprzedniego dnia od pewnego majora, który przechowywał koszulę starannie przez dwa lata, na wypadek gdyby musiał ją sprzedać, żeby za uzyskane pieniądze kupić jedzenie. Król lubił być schludny i porządnie ubrany, tam gdzie nikt inny nie był ani schludny, ani porządnie ubrany, i sprawiało mu przyjemność, że włożył nową, czystą koszulę, długie, zaprasowane w kant spodnie, czyste skarpetki, świeżo wypastowane buty i nieskazitelnie utrzymany kapelusz. Bawiło go, że Grey nie ma na sobie nic oprócz połatanych szortów, drewnianych

chodaków i beretu wojsk pancernych, zzieleniałego i zeszywniałego od tropikalnej pleśni.

– Kupiłem – odparł. – Dawno temu. Nie ma przepisu zakazującego kupować ani tutaj, ani gdziekolwiek... panie poruczniku.

Grey wyczuł w owym „panie poruczniku” beczelność.

– Dobra, kapralu, do środka.

– Po co?

– Na małą pogawędkę – powiedział Grey z sarkazmem.

Król stłumił złość, wszedł po schodkach, przestąpił próg i stanął przy stole.

– I co teraz... panie poruczniku?

– Wywrócić kieszenie.

– Po co?

– Wykonać rozkaz! Wiecie, że mogę rewidować was zawsze i wszędzie – powiedział Grey i dorzucił z pogardą: – Nawet wasz dowódca się na to zgodził.

– Tylko dlatego, że pan porucznik nalegał.

– Miałem powody. Wywrócić kieszenie!

Król bez pośpiechu wykonał rozkaz. W końcu nie miał nic do ukrycia. Chusteczka, grzebień, portfel, paczka fabrycznych papierosów, pudełko z jawańską machorką, ryżowe bibułki do papierosów, zapalki. Grey upewnił się, że wszystkie kieszenie zostały opróżnione, a potem otworzył portfel. Było w nim piętnaście amerykańskich dolarów i blisko czterysta dolarów japońsko-singapurskich.

– Skąd są te pieniądze? – spytał ostro Grey. Cały był zlany potem.

– Wygrałem w karty... panie poruczniku.

Grey zaśmiał się ponuro.

– Macie dobrą passę. I to już od prawie trzech lat. Dobrze mówię?

– Skończył pan już rewizję... panie poruczniku?

– Nie. Chcę jeszcze obejrzeć zegarek.

– Jest w spisie...

– Powiedziałem, że chcę obejrzeć zegarek!

Z posepną miną Król ściągnął z nadgarstka bransoletkę z nierdzewnej stali i wręczył zegarek Greyowi.

Oprócz nienawiści, jaką Grey żywił do Króla, targnęła nim zazdrość. Zegarek był automatyczny, wodoszczelny i odporny na wstrząsy, marki Oyster Royal. Tylko złoto miało w Changi wyższą cenę. Grey odwrócił

zegarek, przyjrzał się wygrawerowanemu w stali cyfrom, a potem podszedł do ściany z palmowych liści, zdjął spis przedmiotów należących do Króla, machinalnie zgarnął z niego mrówki i starannie porównał numer zegarka z numerem umieszczonym w spisie.

– Zgadza się – odezwał się Król. – Nie ma obawy, panie poruczniku.

– Ja się o nic nie boję – odparł Grey. – To wy powinniście się bać.

Zwrócił Królowi zegarek, zegarek, za który można było kupić jedzenia na prawie pół roku.

Król założył zegarek na rękę i sięgnął po portfel i resztę swoich rzeczy.

– A, prawda. Pierścień – powiedział Grey. – Sprawdzimy.

Ale pierścień też znajdował się w spisie. Wpisano go tam jako „złoty pierścień, sygnet klanu Gordonów”. Obok spisu widniała odbita pieczęć.

– Skąd u Amerykanina sygnet Gordonów? – spytał Grey, zresztą nie po raz pierwszy.

– Wygrałem go. W pokera – odparł Król.

– Macie zdumiewającą pamięć, kapralu – rzekł Grey i zwrócił Królowi pierścień.

Od początku wiedział, że znajdzie zegarek i pierścień w spisie. Rewizja to był tylko pretekst. Coś, jakiś masochistyczny impuls kazał mu choć na chwilę zbliżyć się do swojej ofiary. Wiedział również, że Króla nie jest łatwo zastraszyć. Wielu już próbowało go przyłapać, ale bezskutecznie, ponieważ był sprytny, ostrożny i bardzo przebiegły.

– Jak to jest, że macie tyle, gdy cała reszta nie ma nic? – spytał Grey chrapliwie, ogarnięty nagłą zazdrością o zegarek, pierścień, papierosy, zapalki i pieniądze.

– Nie wiem, panie poruczniku. Po prostu dopisuje mi szczęście.

– Skąd macie te pieniądze?

– Wygrałem w karty... panie poruczniku.

Król był zawsze uprzejmy. Zawsze zwracał się do oficerów odpowiednio do ich stopnia i salutował im, tak Anglikom, jak i Australijczykom. Wiedział jednak, że wyczuwają bezmiar pogardy, jaką żywi do stopni wojskowych i salutowania. Między Amerykanami było inaczej. Człowiek to człowiek, bez względu na to, skąd pochodzi, z jakiej rodziny i jaki ma stopień. Jeżeli go poważasz, to zwracasz się do niego z respektem. A jeśli nie, to nie, i tylko skurwiele mają o to pretensję. Niech ich szlag!



Król wsunął pierścień na palec, pozapinał kieszenie i strzepnął z koszuli pyłek kurzu.

– Czy to wszystko... panie poruczniku?

Dostrzegł w oczach Greya błysk gniewu.

Grey przeniósł wzrok na Mastersa, który przez cały czas obserwował ich nerwowo.

– Sierzancie, moglibyście przynieść mi wody? – spytał.

Masters podszedł wolno do manierki wiszącej na ścianie.

– Proszę bardzo, panie poruczniku.

– Ta jest wczorajsza – oznajmił Grey, chociaż wiedział, że to nieprawda. – Przynieście świeżej.

– Głowę dałbym, że przyniosłem wodę zaraz z samego rana – rzekł Masters i wyszedł, kręcąc głową.

Król stał swobodnie i czekał. Grey nie przerywał panującej ciszy. Tuż za ogrodzeniem, w górujących nad dżunglą palmach kokosowych, zaszeleścił wiatr, zapowiadając deszcz. Niebo na wschodzie zasnuły już czarne chmury. Wkrótce miały przesłonić cały nieboskłon i sprawić, że kurz zamieni się w błoto i lżej będzie oddychać parnym powietrzem.

– Zapali pan, panie poruczniku? – spytał Król, podsuwając paczkę papierosów.

Ostatni raz Grey palił prawdziwego papierosa dwa lata temu, w dniu swoich urodzin. Skończył wtedy dwadzieścia dwa lata. Wlepił wzrok w paczkę i miał ochotę wziąć jednego, miał ochotę wziąć wszystkie.

– Nie – rzekł ponuro. – Nie chcę od was żadnego papierosa.

– Mogę zapalić, panie poruczniku?

– Nie!

Król, nie spuszczać oczu z Greya, spokojnie wyjął papierosa, zapalił go i głęboko się zaciągnął.

– Wyjmijcie to z ust! – rozkazał Grey.

– Proszę bardzo... panie poruczniku – powiedział Król, lecz zanim wykonał rozkaz, raz jeszcze powoli i głęboko się zaciągnął. A wtedy zhardział. – Nie muszę słuchać pańskich rozkazów, a poza tym nie ma takiego przepisu, który zakazywałby mi palić wtedy, kiedy mam na to ochotę. Jestem Amerykaninem i nie podlegam żadnemu kopniętemu angielskiemu służbiście! Nieraz już o tym panu przypominano. Niechże pan się ode mnie odczepi... panie poruczniku!

– Nie wymkniecie mi się, kapralu – wybuchnął Grey. – Niedługo noga wam się powinie, a ja was na tym przyłapię, i wtedy znajdziecie się tam. – Trzęsącym się palcem wskazał na prymitywną klatkę z bambusu, która służyła za celę. – Tam jest wasze miejsce!

– Ja nie łamię żadnych przepisów...

– To skąd macie pieniądze?

– Gram w karty – odparł Król i zbliżył się do Greya. Panował nad swoim gniewem, ale w tym momencie był bardzo niebezpieczny. – Nikt mi nic nie daje. To, co mam, jest moje i sam to zdobyłem. A w jaki sposób, to już moja sprawa.

– Nie tylko wasza, dopóki ja tu jestem komendantem żandarmerii.

– Grey zacisnął pięści. – Już od miesiący giną duże ilości lekarstw. A może coś o tym wiecie?

– Ożeż ty!... Słuchaj pan – wybuchnął Król z wściekłością. – Nigdy w życiu nic nie ukradłem. Nigdy w życiu nie handlowałem lekarstwami i radzę o tym pamiętać! Cholerny świat. Gdyby pan nie był oficerem...

– Ale jestem oficerem, więc proszę, spróbujcie. O tak, bardzo proszę. Myślicie, kapralu, że jesteście tacy strasznie mocni. A ja wiem, że nie jesteście.

– Jedno panu powiem. Kiedy skończy się to zastrane Changi, to się spotkamy i pan się nie pozbiera.

– Zapamiętam to sobie! – Grey starał się powstrzymać kołatanie serca. – Ale wiedzcie, że zanim to nastąpi, ja będę czuwał i czekał. Nie słyszałem jeszcze, żeby komuś szczęście dopisywało wiecznie. Wasze też się skończy.

– Nie ma obawy, panie poruczniku! – odparł Król, chociaż zdawał sobie sprawę, że mimo wszystko w słowach Greya jest wiele prawdy. Jak dotąd miał dużo szczęścia. Nawet bardzo dużo. Ale szczęście to nie hazard, to ciężka praca, planowanie, a poza tym coś jeszcze. A jeżeli już hazard, to wykalkulowany. Tak jak dziś z tym diamentem. Całe cztery karaty. Nareszcie wiedział, jak go zdobyć. Kiedy przyjdzie odpowiednia chwila. Gdyby udało mu się ubić jeszcze ten jeden interes, to byłby on ostatni i nie musiałby więcej ryzykować... Przynajmniej tu, w Changi.

– Skończy się wasze szczęście – powtórzył złowrogo Grey. – A wiecie dlaczego? Bo nie różnicie się niczym od innych przestępców. Jesteście chciwi...

– Dość mam tych bzdur! – zawołał Król i nie mogąc powstrzymać wściekłości, dorzucił: – Jeżeli ja jestem przestępcą, to...

– Właśnie że jesteście. Bez przerwy łamiecie prawo.

– Akurat. Dla mnie to japońskie prawo może...

– Do diabła z japońskim prawem! Mówię o prawie obozowym. Obozowe prawo zabrania handlu. A wy się tym właśnie zajmujecie!

– Niech mi pan to udowodni.

– Wszystko w swoim czasie. Wystarczy jedna wpadka. A wtedy zobaczymy, jak się wam będzie powodzić. W mojej klatce. A jak już w niej sobie posiedzicie, osobiście dopilnuję, żeby was wysłano do Outram Road!

Król poczuł zimny dreszcz przerażenia w sercu i jądrach.

– Tak, to podobne do takiego drania jak pan – powiedział przez zacisnięte zęby.

– W waszym wypadku zrobiłbym to z przyjemnością – rzekł Grey z pianą na ustach. – Przecież Japończycy to wasi przyjaciele!

– Ach ty skurwysynu! – zaklął Król i zacisnąwszy wielką jak młot pięść, ruszył do Greya.

– Co tu się znowu dzieje? – spytał pułkownik Brant, który stąpając ciężko po schodkach, wchodził właśnie do środka.

Był bardzo niski, miał niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu i nosił bródkę podwiniętą pod brodę wzorem Sikhów. W ręku trzymał wojskową trzcinkę. Jego wojskowa czapka nie miała daszka i cała była w łątach z workowego płótna. Na środku błyszczało jak złoto godło pułku, wygładzone przez lata polerowania.

– Nic... nic, panie pułkowniku. – Grey przegonił ręką rój much, usiłując opanować przyspieszony oddech. – Właśnie... rewidowałem kaprała...

– Ejże, ejże, Grey – przerwał pułkownik rozdrażnionym tonem. – Słyszałem przecież, co pan mówił o Outram Road i Japończykach. Można jak najbardziej rewidować go i przesłuchiwać, o czym powszechnie wiadomo, ale nie ma powodu go straszyć i obrzucać obelgami. – Pułkownik, na którego czole perliły się kropelki potu, zwrócił się z kolei do Króla. – A wy, kapralu, podziękujcie swojej szczęśliwej gwiazdzie, że nie zamelduję kapitanowi Broughowi o waszym niezdyscyplinowaniu. Macie chyba dość rozsądku, żeby nie paradować w tym ubraniu. To każdego może doprowadzić do szaleństwa. Sami szukacie guza.

– Tak jest, panie pułkowniku – odparł Król. Na zewnątrz zachowywał spokój, ale przeklinał siebie w duchu za to, że stracił panowanie nad sobą, o co właśnie chodziło Greyowi.

– Spójrzcie na mnie, jak jestem ubrany – mówił pułkownik Brant.  
– Jak ja się, do licha, przy was czuję?

Król nic na to nie odpowiedział. Pomyślał tylko: To twoje zmartwienie, przyjacielu – ty dbasz o siebie, a ja o siebie. Pułkownik miał na sobie tylko przepaskę na biodrach zrobioną z połowy saronga, którą obwiązał się w pasie jak szkocką spódniczka, a pod nią już nic. W całym Changi jedynie Król nosił kalesony. Miał ich sześć par.

– Myślicie, że nie zazdrośczone wam butów? – ciągnął z irytacją pułkownik Brant. – Mając tylko te dwa ohydztwa?

Pułkownik nosił regulaminowe klapki, zrobione z kawałka drewna i płóciennego paska.

– Nie wiem, panie pułkowniku – odparł Król z udaną pokorą, jakże miłą uchu oficera.

– Całkiem słusznie. Całkiem słusznie – rzekł pułkownik i zwrócił się do Greya. – Wydaje mi się, że winien jest pan kapralowi przeprosiny. Niesłusznie mu pan groził. Musimy być sprawiedliwi, prawda, Grey?

Otarł spoconą twarz.

Wiele wysiłku kosztowało Greya powstrzymanie się od przekleństwa, które cisnęło mu się na usta.

– Przepraszam.

Powiedział to głosem tak stłumionym i ostrym, że Król z trudem ukrył uśmiech.

– Świetnie – rzekł pułkownik Brant, skinął z zadowoleniem głową i spojrzał na Króla. – W porządku, możecie odejść. Ale w tym ubraniu szukacie guza. Pretensje możecie mieć tylko do siebie!

– Dziękuję, panie pułkowniku – odparł Król i zgrabnie zasalutował.

Wyszedł z baraku i znalazłszy się ponownie na słońcu, odetchnął z ulgą. Jeszcze raz przeklął siebie w duchu. Psiakrew, niewiele brakowało. O mało nie uderzył Greya, a tylko wariat mógłby coś takiego zrobić. Żeby dojść do siebie, zatrzymał się przy ścieżce i zapalił następnego papierosa; liczni, którzy go mijali, zobaczyli papierosa i poczuli zapach.

– Przeklęty typ – odezwał się po jakimś czasie pułkownik, nadal patrząc w ślad za Królem i ocierając pot z czoła, po czym zwrócił się do Greya. – Ależ Grey, pan chyba oszalał, żeby tak go prowokować.

– Przepraszam. Ja... wydaje mi się, że on...

– Kimkolwiek by był, jedno jest pewne: oficer i dżentelmen nigdy nie traci panowania nad sobą. Źle pan postąpił, bardzo źle, zgodzi się pan ze mną?

– Tak jest, panie pułkowniku – odparł Grey i to było wszystko, co mógł powiedzieć.

Pułkownik Brant odchrząknął i zacisnął usta.

– Całkiem słusznie. Na szczęście tędy przechodziłem. To niedopuszczalne, żeby oficer wdawał się w awanturę z żołnierzem. – Ponownie spojrzął przez drzwi, czując nienawiść do Króla i pożądam jego papierosa. – Przekłety typ – rzekł, nie patrząc na Greya. – Kompletnie niezdyscyplinowany. Tak jak ci wszyscy Amerykanie. Łobuzeria. Kto to słyszał, żeby zwracać się do swoich oficerów po imieniu – dodał, unosząc brwi. – Albo żeby oficerowie różnęli w karty z szeregowcami. Niech mnie diabli! Gorszi od Australijczyków, a ci to przecież hołota, jakiej świat nie widział. Dziadostwo! Nie to co armia indyjska, prawda?

– Tak, panie pułkowniku – potaknął niewyraźnie Grey.

Pułkownik Brant obrócił się szybko.

– Nie chciałem tego... rozumie pan, tylko dlatego, że... – Urwał i nagle oczy zasły mu łzami. – Czemu, czemu to zrobili? – spytał łamiącym się głosem. – No, niech pan powie, Grey, czemu? Ja... my wszyscy ich kochaliśmy.

Grey wzruszył ramionami. Gdyby nie tamte wymuszone przeprosiny, wyraziłby mu swoje współczucie.

Pułkownik stał niezdecydowany, potem odwrócił się i opuścił barak. Szedł z pochyloną głową, a po policzkach płynęły mu łzy.

Gdy w roku 1942 padł Singapur, niemal wszyscy żołnierze pułkownika przeszli na stronę wroga, Japończyków, i zwrócili się przeciwko swoim angielskim oficerom. Żołnierze ci znaleźli się wśród wartowników strzegących z początku jeńców wojennych, a niektórzy z nich odznaczyli się wyjątkowym okrucieństwem. Oficerowie tego pułku nie zaznali spokoju. Byli to bowiem prawie wyłącznie ich podkomendni, oprócz kilku z innych pułków hinduskich. Natomiast Gurkhowie pozostali bez wyjątku wierni, mimo tortur i upokorzeń. Dlatego pułkownik Brant oplakiwał swoich żołnierzy, żołnierzy, za których oddałby życie, za których ciągle umierał.

Grey, odprowadzając go wzrokiem, dostrzegł na ścieżce Króla, który palił papierosa.

– Cieszę się, iż powiedziałem ci, że albo ja, albo ty – wyszeptał. Usiadł na ławce i wtedy brzuch przeszył mu ostry ból, przypominając o tym, że nie ominęła go w tym tygodniu czerwotka. – A niech to diabli! – mruknął, przeklinając pułkownika Branta i to, że musiał przeprosić Króla.

Masters wrócił z pełną manierką i podał mu ją. Grey pociągnął łyk, podziękował Mastersowi i zaczął snuć plany, jak by tu dobrać się do Króla. Ogarnął go jednak przedobiedni głód, więc biernie poddał się biegowi myśli.

Powietrze przeszył cichy jęk. Grey obejrzał się szybko na Mastersa, który siedział nieświadom tego, że wydał z siebie jakiś dźwięk, i obserwował, jak biegające bezustannie po krokwiach baraku jaszczurki rzucają się na owady albo szepiają ze sobą.

– Macie czerwotkę, Masters?

Masters niemrawo odegnał muchy, które obsiadły mu twarz wyglądającą niczym mozaika.

– Nie, panie poruczniku. A przynajmniej nie miałem od prawie pięciu tygodni.

– Dur?

– Nie, Bogu dzięki. To tylko ameboza. A malarii nie miałem już od prawie trzech miesięcy. Mam dużo szczęścia i mimo wszystko trzymam się bardzo dobrze.

– Owszem – rzekł Grey i dodał po chwili: – Dobrze wyglądacie.

Wiedział jednak, że już wkrótce będzie się musiał postarać o kogoś na jego miejsce. Ponownie spojrzął w stronę palącego Króla i z głodu tytoniu poczuł mdłości.

Masters znowu jęknął.

– Co wam jest, do diabła? – spytał rozdrażniony Grey.

– Nic, panie poruczniku. Nic. Pewnie mam...

Lecz mówienie kosztowało Mastersa zbyt wiele wysiłku, więc słowa zawisły mu na wargach, zlewając się z brzęczeniem much. To one władady dniem, tak jak noc należała do komarów. Ani chwili ciszy. Nigdy. Masters usiłował przypomnieć sobie, jak wygląda życie bez much, komarów i ludzi, ale było to ponad jego siły. Siedział więc nieruchomo, milcząc, ledwie oddychając – cień człowieka. I tylko dusza poruszała się w nim niespokojnie.

– Możecie już iść, Masters – powiedział Grey. – Zaczekam na waszego zmiennika. Kto to ma być?

Masters zmusił się do myślenia i odparł po chwili:

– Bluey... Bluey White.

– Do jasnej cholery, weźcie się w garść! – warknął Grey. – Kapral White umarł trzy tygodnie temu.

– Ach, przepraszam, panie poruczniku – odparł słabym głosem Masters. – Przepraszam, musiało mi się... To... to chyba będzie Peterson. Ten dzemojad, znaczy się Anglik. Zdaje się kawalerzystą.

– Dobrze. Możecie już iść na obiad. Tylko nie marudźcie i zaraz wracajcie.

– Tak jest, panie poruczniku.

Masters nałożył trzciniowy kapelusz, jaki noszą kulisi, zsalutował i powłócząc nogami, wyszedł przez drzwi, których nie było czym zamknąć, przytrzymując na biodrach strzępy szortów. Mój Boże, pomyślał Grey, czuć go na kilkadziesiąt metrów. Nie da rady, muszą nam wydawać więcej mydła.

Wiedział jednak, że dotyczy to nie tylko Mastersa. Tu wszystkich było czuć. Ten, kto nie mył się sześć razy dziennie, chodził spowity jak w całun w zapach własnego potu. Myśl o całunie przypomniała mu znów o Mastersie i... piętnie, jakim był naznaczony. A może Masters też o tym wiedział, więc po co miał się myć?

Grey wiele razy widział śmierć. Na myśl o własnym pułku i wojnie wezbrała w nim gorycz. O mało nie zaczął krzyknąć: „Psiakrew, mam dwadzieścia cztery lata i wciąż jestem tylko porucznikiem! I pomyśleć, że wszędzie, na całym świecie, trwa wojna. Dzień w dzień są awanse. Okazje. A ja siedzę tu, w tym śmierdzącym obozie jenieckim, i wciąż jestem tylko porucznikiem. Boże! Gdyby w czterdziestym drugim nie przerzucono nas do Singapuru... Gdybyśmy poszli tam, gdzie iść mieliśmy, na Kaukaz. Gdybym...”

– Przestań – powiedział na głos. – Ty idioto, zachowujesz się jak Masters.

Mówienie od czasu do czasu do samego siebie było w obozie rzeczą normalną. Lekarze wciąż powtarzali, że lepiej wyrzucić z siebie, co komu leży na sercu, niż milczeć, dławiąc się myślami, bo to kończy się obłędem. W dzień zazwyczaj było jeszcze znośniej. Mogłeś nie myśleć o dawnym życiu, o jego podstawowej treści – o jedzeniu, kobietach, domu, jedzeniu, o jedzeniu, kobietach, jedzeniu. Za to noc była niebezpieczna. Bo nocą zaczynałeś marzyć. Marzyć o jedzeniu i kobietach. O swojej kobiecie.

Wkrótce marzenia pochłaniały bardziej niż czuwanie i nieostrożni zaczęli śnić na jawie, a wtedy dzień stapiał się z nocą, a noc z dniem. Potem była już tylko śmierć, spokojna, łagodna. Umrzeć było łatwo. Żyć znaczyło cierpieć. Dla wszystkich z wyjątkiem Króla. On nie cierpiał.

Grey nie przestawał go obserwować. Starał się też dosłyszeć, co mówi do stojącego obok mężczyzny, ale znajdował się za daleko. Bezskutecznie próbował przypomnieć sobie, skąd zna tego drugiego. Opaska wskazywała, że to major. Japończycy zarządzili, że wszyscy oficerowie mają nosić na lewej ręce opaski z oznaczeniem stopnia wojskowego. Nosić zawsze i wszędzie. Nawet gdy są nago.

Czarne, deszczowe chmury zbierały się szybko. Niebo na wschodzie upstrzone było płachtami błyskawic, ale słońce przypiekało nadal. Poruszony cuchnącym podmuchem wiatru kurz wzbił się na chwilę w powietrze i opadł.

Grey machinalnie trzepnął bambusową packą na muchy. Zręczny, na wpół odruchowy skręt nadgarstka i na podłogę spadł kolejny okaleczony owad. Zabić muchę było niezręcznością. Należało ją okaleczyć tak, żeby swołocz trochę pocierpiała i choć w maleńkim stopniu odpłaciła za cierpienia, okaleczyć, żeby wrzeszczała; bezgłośnie, dopóki nie nadciągną inne muchy i mrówki, by walczyć o żywe mięso.

Ale tym razem Grey nie oddał się przyjemności oglądania udreki dręczyciela. Zbyt zajęty był Królem.



## II

– Tam do licha – mówił właśnie major do Króla, siłąc się na jowialność. – A potem przebywałem w Nowym Jorku. W trzydziestym trzecim. To były czasy. Stany to taki cudowny kraj. Opowiadałem wam, jak wybrałem się na wycieczkę do Albany? Byłem wtedy niższym oficerem...

– Tak, panie majorze, opowiadał mi pan – przerwał mu Król znużonym tonem. Uznał, że dostatecznie długo jest uprzejmy, a poza tym wciąż czuł na sobie wzrok Greya. Mimo że był całkiem bezpieczny i niczego się nie obawiał, wolał ukryć się w cieniu i znaleźć się poza zasięgiem śledzących go oczu. Miał dużo roboty. Doszedł więc do wniosku, że skoro major nie może dojść do sedna, to pał go sześć!

– Miło się z panem rozmawia, panie majorze, ale pozwoli pan, że już pójdę – powiedział.

– Ach, jedną chwileczkę – rzekł pośpiesznie major Barry, rozglądając się nerwowo, gdyż czuł na sobie zaciekawiony wzrok przechodzących jeńców i wyczuwał ich nieme pytanie: „A o czym ten rozmawia z Królem?”. – Czy... czy moglibyśmy porozmawiać na osobności?

Król obrzucił go uważnym spojrzeniem.

– Nikt nam tu nie przeszkadza. Wystarczy ściszyć głos – powiedział.

Major Barry był tak zakłopotany, że aż cały się spocił. Od wielu dni starał się niby to przypadkiem natknąć na Króla, więc taką okazję zał było przepuścić.

– Ale barak komendanta żandarmerii jest... – zaczął.

– A co ma wspólnego glina z rozmową na osobności? Nie rozumiem, panie majorze – rzekł Król, nic po sobie nie okazując.

– Nie trzeba... mhm... Otóż pułkownik Sellars powiedział, że moglibyście mi pomóc. – Zamiast prawej ręki major Barry miał kikut i bez przerwy go drapał, dotykał i ścisnął. – Czy moglibyście... coś dla nas, to znaczy dla mnie załatwić? – Odczekał, aż w pobliżu nie będzie niko-

go, kto mógłby ich usłyszeć. – Chodzi o zapalniczkę – szepnął. – Ronsona. W idealnym stanie. – Teraz, kiedy przeszedł do rzeczy, poczuł się trochę swobodniej. Ale wypowiadając te słowa do Króla, w pełnym słońcu, na powszechnie uczęszczanej ścieżce, czuł się jak obnażony.

Król zastanawiał się przez chwilę, po czym spytał:

– Czyja to zapalniczka?

– Moja – odparł major i spojrzął na niego zaskoczony. – Nie myślicie chyba, że ją ukradłem! Boże święty, czegoś takiego nigdy bym nie zrobił. Przechowywałem ją do tej pory, ale teraz, cóż, teraz musimy ją sprzedać. Cała grupa się zgodziła. – Obliznął spierzchnięte wargi i pogłodził kikut ręki. – Bardzo proszę. Zrobicie to? Dajecie najlepszą cenę.

– Handel jest zabroniony.

– Tak, ale ja bardzo proszę. Moglibyście? Proszę. Mnie można ufać.

Król obrócił się tak, żeby stać plecami do Greya, a twarzą do ogrodzenia, na wszelki wypadek, gdyby Grey umiał czytać z ruchu warg.

– Przyślę kogoś po korycie – rzekł cicho. – Hasło: „Przysłał mnie porucznik Albany”. Zapamięta pan?

– Tak – odrzekł major Barry. Stał przez chwilę niepewnie. Serce waliło mu jak młotem. – Jak powiedzieliście? – spytał.

– Po korycie. Po obiedzie!

– Aha, dobrze.

– Da mu pan zapalniczkę. A ja ją obejrzę i skontaktuję się z panem. Hasło bez zmian. – Król strzepnął spopielałą koniuszek papierosa, rzucił niedopałek na ziemię i już go miał przydeptać, kiedy spostrzegł wyraz twarzy majora. – O! Chce pan peta?

Uszcześliwiony major Barry schylił się po niedopałek i podniósł go.

– Dziękuję. Bardzo dziękuję – powiedział. Otworzył małą puszkę na tytoń, ostrożnie rozdarł bibułkę niedopałka, dosypał tytoń do wysuszonych liści herbacianych i wymieszał wszystko razem. – Nie ma to jak trochę aromatu – rzekł z uśmiechem. – Bardzo wam dziękuję. Wystarczy co najmniej na trzy porządne papierosy.

– Do zobaczenia, panie majorze – rzekł Król, salutując.

– Ach, zaraz, mhm... – zatrzymał go major Barry. Nie bardzo wiedział, jak ma to wyrazić. – Sądzicie, że... – zaczął nerwowo ściszym głosem. – Czy oddając ją, tak bez niczego, nieznanemu, mogę mieć pewność, że... no, że wszystko pójdzie dobrze?

– Po pierwsze: hasło – odparł zimno Król. – Po drugie: moje dobre imię. Po trzecie: ufam panu, że zapalniczka nie jest kradziona. A może lepiej dajmy sobie z tym spokój?

– Ależ proszę mnie źle nie zrozumieć – powiedział prędko major. – Ja się tylko tak spytałem. To... to jest wszystko, co mam. – Uśmiechnął się z przymusem. – Dziękuję. A zatem po obiedzie. Aha, jak sądzicie, ile czasu trzeba, żeby... żeby się tego pozbyć?

– Postaram się jak najszybciej. Warunki takie jak zwykle. Biorę dziesięć procent od sprzedaży – odparł lakonicznie Król.

– Oczywiście. Dziękuję. I raz jeszcze dziękuję za tytuł.

Teraz, kiedy już wszystko zostało powiedziane, majorowi Barry'emu spadł wielki kamień z serca. Przy odrobinie szczęścia dostaniemy sześćset do siedmuset dolarów, myślał, schodząc pośpiesznie ze wzgórza. A to, jeśli się będzie ostrożnie wydawać, starczy na żywność przez wiele miesięcy. Major nie poświęcił nawet jednej myśli poprzedniemu właścicielowi zapalniczki, który powierzył mu ją dawno temu, idąc do szpitala, z którego już nie wrócił. Tamto należało do przeszłości. Teraz on był jej właścicielem. Stanowiła jego własność. A więc mógł ją sprzedać.

Król wiedział, że przez cały ten czas Grey nie spuścił z niego oka. Podniecenie wywołane ubijaniem interesu przed barakiem żandarmerii polepszyło jego i tak już dobre samopoczucie. Zadowolony z siebie szedł pod górę łagodnym wzniesieniem, machinalnie odpowiadając na pozdrowienia znajomych oficerów i żołnierzy, Anglików i Australijczyków. Co ważniejszych wyróżniał specjalnie, pozostałym przyjaźnie kiwał głową. Zdawał sobie sprawę z ich wrogiej zawiści, ale się nią ani trochę nie przejmował. Przywykł do niej, a nawet bawiła go i dodawała splendoru. Przyjemne było także i to, że nazywano go Królem. Napawały go dumą własne osiągnięcia i jako człowieka, i jako Amerykanina. Dzięki sprytowi stworzył całkiem nowy świat i przyglądał się teraz swemu dziełu z niepomiernym zadowoleniem.

Przy baraku dwudziestym czwartym, zamieszkanym przez Australijczyków, zatrzymał się i wetknął głowę przez okno.

– Hej, Tinker! – zawołał. – Zamawiam golenie i manicure.

Tinker Bell był niski i żyłasty. Skórę miał matowobrazową, oczy małe, brunatne i łuszczący się nos. Z zawodu był postrzygaczem owiec, ale tu, w Changi, nie było lepszego fryzjera.

– Co to, masz urodziny? – spytał. – Robiłem ci manicure nie dalej jak przedwczoraj.

– A dzisiaj zrobisz mi znowu.

Tinker wzruszył ramionami i wyskoczył przez okno. Król rozsiadł się na stojącym pod okapem krześle i z zadowoleniem rozluźnił wszystkie mięśnie, a Tinker owinął mu szyję serwetą i ustawił głowę pod właściwym kątem.

– Spójrz tylko, bracie – powiedział, podsuwając Królowi pod nos małe mydełko. – Powąchaj.

– Ej, to prawdziwy cymes – rzekł Król, uśmiechając się szeroko.

– O takiej marce nie słyszałem. Ale słowo ci daję, bracie, że to jest fiołkowe Yardleya! Jeden mój koleś ściągnął je na robotach. I to prosto sprzed nosa jakiemuś Japońcowi. Kosztowało mnie trzydzieści dolarów – powiedział Tinker. Przy podawaniu podwójnej ceny mrugnął okiem.  
– Jak chcesz, to zachowam je specjalnie dla ciebie.

– Wiesz co? Będę ci płacił za golenie piątkę zamiast trzech, dopóki się nie wymydlisz – zaproponował Król.

Tinker prędko obliczył w myśli. Mydło mogło starczyć na osiem, może dziesięć goleń.

– Daj żyć, chłopie – odparł. – Ledwo wyjdę na swoje.

– Dałeś się nabrać, Tink – mruknął Król. – Takie coś to ja mogę kupować na kilogramy po piętnaście za sztukę.

– Cholerny świat! – wybuchnął Tinker udanym gniewem. – Żeby koleś mnie brał za frajera! Tego już za wiele! – Z furią mieszał pachnące mydło w gorącej wodzie, aż utworzyła się piana. Roześmiał się. – Nie ma co, chłopie, faktycznie jesteś Królem.

– A jak – odparł z zadowoleniem Król. Od dawna był z Tinkerem za pan brat.

– Można zaczynać? – spytał Tinker, unosząc namydlony pędzel.

– Jasne – odparł Król. W tym momencie spostrzegł, że ścieżką idzie Tex. – Ej, Tex, zaczekaj! – zawołał.

Tex skierował teraz wzrok na barak, zobaczył Króla i podszedł bez pośpiechu.

– Czego chcesz? – spytał.

Był to chudy, niezgrabny, bardzo, bardzo wysoki chłopak o dużych uszach, zakrzywionym nosie i spokojnym spojrzeniu.

Tinker wycofał się bez słowa, żeby nie przysłuchiwać się rozmowie, a Król skinął na Texa.

– Zrobisz coś dla mnie? – spytał cicho.

– Pewnie.  
Król wyjął portfel i wyłuskał z niego dziesięciodolarowy banknot.  
– Odszukasz pułkownika Branta, tego niskiego z podwiniętą bródką, i dasz mu to.  
– A gdzie go znaleźć?  
– Przy rogu więzienia. To on ma dziś oko na Greya.  
– Słyszałem, że miałeś z nim przeboje – powiedział Tex z porozumiewawczym uśmiechem.  
– Ten skurwysyn znów mnie zrewidował.  
– Ciężki los – rzekł krótko Tex, drapiąc się w głowę.  
Miał jasne, ostrzyżone na jeża włosy.  
– Tak – odparł Król i roześmiał się. – I powiedz Brantowi, żeby na drugi raz tak się cholernie nie spóźniał. Szkoda, że tego nie widziałeś, Tex. Człowieku, ten Brant to prawdziwy aktor. Zmusił Greya do tego, żeby mnie przeprosił. – Znów się uśmiechnął i dołożył jeszcze pięć dolarów. – Powiedz mu, że to za tamte przeprosiny.  
– Dobra. Jeszcze coś?  
– Tak.  
Król podał mu hasło i wyjaśnił, gdzie ma szukać majora Barry’ego. Kiedy Tex odszedł, Król rozsiadł się wygodnie. Ogólnie biorąc, dzisiejszy dzień był dla niego bardzo korzystny.

Grey przeszedł pośpiesznie na drugą stronę ścieżki i wszedł do baraku szesnastego. Zbliżała się pora obiadu, a jego aż ćmiło z głodu.

Jeńcy ustawiali się już niecierpliwie w kolejce po jedzenie. Grey podszedł prędko do łóżka, wziął dwie menażki, kubek, widelec i dołączył do czekających.

– Dlaczego jeszcze nie wydają? – spytał znużonym głosem stojącego przed nim jeńca.

– A skąd mogę wiedzieć? – odparł szorstko Dave Daven. Był roslony jak bambus, a jego wymowa zdradzała, że ukończył jakąś prywatną szkołę: Eton, Harrow albo Charterhouse.

– Tak tylko pytałem – rzekł gniewnie Grey. Gardził Davenem za jego wymowę i przywileje przysługujące mu z tytułu urodzenia.

Upłynęła godzina, zanim doczekali się jedzenia. Któryś z jeńców zaniósł na początek kolejki dwa pojemniki i postawił je na ziemi. Kiedyś

mieściło się w nich po pięć galonów wysokooktanowej benzyny. Teraz połowę zawartości jednego stanowił niczym nie okraszony jasny ryż, a drugi wypełniała zupa.

Dziś była to zupa z rekina, co oznaczało, że z jednego rekina rozdrobionego na kawałeczki ugotowano zupełę dla dziesięciu tysięcy ludzi. Była ciepła, miała wyczuwalny smak ryby i pływały w niej kawałki bakłażanu i kapusty – pięćdziesiąt kilo na dziesięć tysięcy. Przeważały w niej liście, czerwone i zielone, gorzkie, ale pożywne, które z taką pieczołowitością hodowano w obozowych ogrodach. Przyprawiono ją solą, curry i czerwonym pieprzem.

Ludzie podchodzili kolejno w milczeniu, każdy obserwował, ile dostaje poprzednik, a ile ten, który jest za nim, i porównywał obie porcje ze swoją. Obecnie, po trzech latach, miarka była już ta sama dla wszystkich.

Filiżanka zupy na głowę.

Gorący ryż buchał parą, kiedy go rozdzielano. Dziś był to ryż jawajski, najlepszy na świecie, każde ziarnko osobno. Filiżanka na głowę.

Kubek herbaty.

Każdy odchodził z jedzeniem na bok i spożywał je w milczeniu, pospiesznie i z nieopisaną męką. Ryjkowce czyniły ryż pożywniejszym, a dostrzeżone w zupie robaki czy owady wyjmowano bez cienia gniewu. Jednakże większość jedzących wcale nie przyglądała się zupie, obrzucający ją tylko raz szybkim spojrzeniem, żeby sprawdzić, czy nie pływa w niej kawałek ryby.

Dzisiaj, po obdzieleniu wszystkich, zostało jeszcze trochę stawy, zajrzano więc do listy i wydano resztę pierwszym trzem szczęśliwcom, którzy w duchu pobłogosławili ten dzień. Jedzenie zniknęło, obiad się skończył, a kolację dawano o zachodzie słońca.

Mimo że obiad składał się tylko z zupy i ryżu, byli tacy, którzy mogli wmieszać sobie do ryżu kawałek orzecha kokosowego, połówkę banana, kawałek sardynki, skrawek konserwowanej wołowiny, a nawet jajko. Całe jajko należało do rzadkości. Raz na tydzień, jeżeli obozowe kury niosły się zgodnie z planem, każdy dostawał po jednym. Był to wielki dzień. Kilku jeńców dostawało codziennie po jajku, ale nikt nie chciał należeć do tej grupki wybrańców.

– Słuchajcie no, chłopcy! – rozległ się głos kapitana Spence’a, który stał pośrodku baraku, ale słysząc go było również na zewnątrz. Ten niski, ciemnowłosy mężczyzna o nieregularnych rysach był w tym tygo-

dniu oficerem służbowym, pełnił funkcję adiutanta baraku. Odczekał, aż wszyscy wejdą do środka. – Musimy jutro dać dodatkowo dziesięciu ludzi do pracy przy drzewie – oznajmił. Z listy odczytał na głos nazwiska, po czym oderwał wzrok od kartki. – Marlowe? – Nie było odpowiedzi.

– Czy ktoś wie, gdzie jest Marlowe?

– Zdaje się, że ze swoją grupą – zawołał Ewart.

– Proszę mu przekazać, że pracuje jutro na lotnisku, dobrze?

– Dobrze.

Spence rozkaszał się. Astma dokuczała mu dziś bardziej. Gdy atak mijał, ciągnął:

– Komendant obozu odbył dziś rano kolejną rozmowę z japońskim generałem. Prosił o zwiększenie racji żywnościowych i dostaw leków. – Odchrząknął. Przez chwilę panowała cisza. Potem mówił dalej bezbarwnym tonem: – Jak zwykle prośbę odrzucono. Dzienna racja ryżu wynosi nadal sto dwadzieścia gramów na osobę.

Wyjrzał przez jedne i drugie drzwi baraku, upewniając się, czy obaj ludzie na czatach są na swoim miejscu, a potem ściszył głos. Wszyscy niecierpliwie nadstawili uszu.

– Alianci są około stu kilometrów od Mandalay i prą dalej naprzód. Zmusili Japończyków do ucieczki. Nadal posuwają się naprzód w Belgii, ale pogoda nie sprzyja. Szaleją burze śnieżne. Na froncie wschodnim to samo, ale Rosjanie wyrywają do przodu i spodziewają się, że za kilka dni zajmą Kraków. Amerykanie dobrze sobie radzą w Manili. Zbliżają się do... – urwał, starając się przypomnieć sobie nazwę – zdaje się, że ta rzeka nazywa się Agno, na Luzonie. To wszystko. W sumie wiadomości są dobre.

Spence poczuł ulgę, że ma to już za sobą. Wiadomości uczył się na pamięć codziennie na zebraniu adiutantów baraków i za każdym razem, kiedy przekazywał je publicznie, oblewał się zimnym potem i czuł pustkę w żołądku. Któregoś dnia, myślał, być może jakiś donosiciel wytknie mu palcem i powie wrogom, że to właśnie jeden z tych, którzy przekazują wieści z frontu, i wiedział, że nie wystarczy mu sił, żeby zachować milczenie. Albo też któregoś dnia jakiś Japończyk usłyszy, jak on, Spence, mówi do innych, a wtedy, wtedy...

– To wszystko, chłopcy – zakończył. Podeszedł do pryczy. Było mu niedobrze. Ściągnął szorty i wyszedł z baraku z ręcznikiem przerzuconym przez ramię.

Słońce prażyło. Jeszcze dwie godziny do deszczu. Spence przeszedł na drugą stronę asfaltowej drogi i ustawił się w kolejce do pryszniców. Zawsze po przekazaniu wiadomości musiał wziąć prysznic, tak silnie cuchnął potem.

– No i jak, bracie? – spytał Tinker.

Król przyjrzał się swoim paznokciom. Były ładnie przycięte i wyrównane. Twarz, ściągnięta od na przemian gorących i zimnych okładów, szczypała go od płynu po goleniu.

– Wspaniale – rzekł, płacąc. – Dzięki, Tink.

Wstał z krzesła i nałożywszy kapelusz, skinał głową Tinkerowi i pułkownikowi, który przyszedł się ostrzyć i od jakiegoś czasu cierpliwie czekał.

Obaj odprowadzili go wzrokiem.

Król znów szedł własnym krokiem ścieżką, mijając stojące grupami baraki. Kierował się w stronę własnego. Odczuwał przyjemny głód.

Barak amerykański stał osobno, na tyle blisko murów, by po południu znaleźć się w ich cieniu, i w pobliżu okrążającej więzienie drogi, która była ośrodkiem obozowego życia i biegła nie opodal ogrodzenia. Trudno o lepsze położenie. Kapitan Brough z Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych, najwyższy stopniem oficer amerykański w obozie, od początku nalegał, żeby żołnierze i podoficerowie amerykańscy mieli oddzielny barak. Większość amerykańskich oficerów chętnie by się do niego przeniosła, gdyż źle się czuli wśród obcych, ale nie było wolno, bo Japończycy nakazali oddzielić oficerów od żołnierzy. Innym narodowościom też to było nie w smak, chociaż Australijczykom mniej niż Anglikom.

Król rozmyślał o brylancie. Niełatwo było namotać ten interes, a musiał to zrobić. Podchodząc do baraku, spostrzegł nagle przy ścieżce młodego człowieka, który siedział na piętach i mówił coś szybko po malajsku do jakiegoś tubylca. Miał mocno opaloną skórę, pod którą rysowały się mięśnie. Szeroki w ramionach, wąski w biodrach. Ubrany był tylko w sarong, ale nosił go tak, jakby się w nim urodził. Twarz miał surową i choć był wychudzony jak wszyscy w Changi, poruszał się z wdziękiem i promieniował energią.

Malajczyk, drobny mężczyzna o brunatnej skórze, słuchał w skupieniu jego śpiewnej mowy, a potem roześmiał się, odsłaniając zęby pociem-



niałe od żucia orzechów arekowych, i odpowiedział, ruchem dłoni akcentując melodię zdania. Młody człowiek też się roześmiał i przerwał swojemu rozmówcy lawiną słów, nieświadomy uważnego spojrzenia Króla.

Król rozumiał z tego tylko piąte przez dziesiąte, bo malański znał słabo i w razie potrzeby posługiwał się mieszanką malańskiego, japońskiego i miejscowej łamanej angielszczyzny. Przysłuchiwał się wybuchom niepohamowanego śmiechu, wiedząc, jakie to rzadkie. Gdy młody człowiek śmiał się, widać było, że śmieje się szczerze. Taki śmiech był wielką rzadkością. Czymś nieocenionym.

W zamyśleniu Król wszedł do baraku. Jego mieszkańcy unieśli na chwilę głowy i uprzejmie pozdrowili wchodzącego. Odpowiedział na pozdrowienia, nie wyróżniając specjalnie nikogo. Wiedział jednak swoje, tak samo jak i tamci.

Dino leżał na łóżku pogrążony w półśnie. Był to schludny, niski mężczyzna o ciemnej skórze i ciemnych włosach, przedwcześnie przypłoszonych siwizną, i o szklistych, przejrzystych oczach. Król poczuł na sobie jego spojrzenie, skinął głową, a Dino uśmiechnął się. Ale w jego oczach nie było uśmiechu.

W przeciwległym kącie baraku Kurt, który właśnie łątał sobie spodnie, podniósł wzrok i splunął na podłogę. Był to karłowaty typ o złym spojrzeniu, pożółkłych, szurzących zębach, który zawsze spluwał na podłogę i którego nikt nie lubił, ponieważ nigdy się nie mył. Bliżej środka baraku Byron Jones Trzeci rozgrywał z Millerem nie kończącą się partię szachów. Obaj byli nadzy. Miller ważył sto trzydzieści kilo i mierzył bez mała dwa metry, gdy dwa lata temu storpedowano jego statek handlowy. Teraz, kiedy wchodził na wagę, wskazówka zatrzymywała się na sześćdziesięciu kilogramach, a zwisające fałdy skóry brzucha osłaniały mu narządy płciowe. Jego niebieskie oczy zabłyśły, gdy zrobił ruch i zabrał konika. Byron Jones Trzeci usunął szybko konia z szachownicy i wtedy Miller spostrzegł, że jego wieża znalazła się w niebezpieczeństwie.

– Koniec z tobą, Miller – powiedział Jones, drapiąc pokaleczone w dżungli nogi.

– Idź do diabła!

Jones roześmiał się i dodał:

– Marynarka wojenna dawała handlowej wycisk zawsze i wszędzie.

– No i co z tego! I tak was, durniów, zatopili. Okręt wojenny, też mi coś!

– Tak... – szepnął w zamyśleniu Jones, bawiąc się opaską na oko i przypominając sobie, jak zatonał jego okręt „Houston”, jak zginęli jego koledzy i jak on sam stracił oko.

Król przeszedł przez barak. Przy jego łóżku i przytwierdzonej do niego łańcuchem czarnej skrzynce siedział Max.

– Dzięki, Max. Możesz iść – powiedział Król.

– Dobra.

Twarz Maxa zdradzała, że z niejednego pieca jadł chleb. Pochodził z Nowego Jorku, z dzielnicy West Side, i tamtejsze okolice nauczyły go w dzieciństwie życia. Oczy miał ciemne i niespokojne.

Król wyciągnął machinalnie pudełko z tytoniem i dał mu trochę machorki.

– O, dzięki – powiedział Max. – Aha, Lee prosił, żeby powtórzyć, że uprał ci bieliznę. On dzisiaj bierze żarcie, jemy na drugą zmianę, ale prosił, żebym ci powtórzył.

– Dziękuję – odparł Król. Wyciągnął paczkę papierosów i w baraku zaległa cisza. Zanim zdążył wyjąć zapalki, Max już strzelał zapalniczką z krzemienia, jakiej używali tubylcy. – Dzięki, Max. – Król zaciągnął się głęboko. Potem, po chwili milczenia, spytał. – Chcesz kooa?

– Chryste, jeszcze jak – rzekł Max, nie bacząc na ironię w głosie Króla. – Coś ci jeszcze załatwić?

– Jak mi będziesz potrzebny, to cię zawołam.

Max przeszedł środkiem baraku do swojego sprężynowego łóżka przy drzwiach i usiadł. Oczy wszystkich śledziły papierosa, ale usta milczały. Papieros należał do Maxa. Max dostał go, bo sobie na niego zapracował. Wiedzieli, że kiedy przyjdzie kolej na nich, żeby pilnować rzeczy Króla, wtedy, kto wie, może i oni dostaną.

Dino uśmiechnął się do Maxa, a ten w odpowiedzi mrugnął okiem. Po jedzeniu mieli się podzielić papierosem. Dzielili się zawsze tym, co udało im się znaleźć, ukraść albo zdobyć. Max i Dino tworzyli grupę.

Tak było w całym Changi. Jedzono w grupach i w grupach sobie nawzajem ufano. Po dwóch, po trzech, rzadko czterech. W pojedynkę nikt nie dałby sobie rady ze znalezieniem czegoś, co by nadawało się do zjedzenia, z zorganizowaniem ognia, ugotowaniem i zjedzeniem tego, co się znalazło. Idealną grupę stanowiło trzech ludzi. Jeden do szukania, jeden do pilnowania zdobyczy i jeden w rezerwie. Jeśli rezerwowy nie był chory, on również szukał czegoś albo pilnował.

Wszystko dzielono na trzy. Jeżeli ktoś miał jajko, ukradł orzech kokosowy, znalazł banana podczas robót poza obozem albo coś gdzieś wyprosił, wszystko to należało do grupy. Zasada była prosta jak każde prawo natury. Utrzymać się przy życiu można było tylko wspólnym wysiłkiem. Ukrycie czegoś przed grupą oznaczało śmierć, bo wiadomość, że kogoś z niej wydalono, szybko się rozchodziła. A przeżyć w pojedynkę było nie sposób.

Ale Król nie należał do żadnej grupy. Był samowystarczalny.

Jego łóżko stało w najlepszym kącie baraku, pod oknem, tak że docierał tam najłżejszy powiew wiatru. Od sąsiedniego dzieliło je dwa i pół metra. Łóżko Króla było porządne. Stalowe. Sprężyny miało mocno naciągnięte, a siennik wypełniony kapokiem. Przykryte było dwoma kocami, a spod wierzchniego, obok wybielonej przez słońce poduszki, wycierała czysta pościel. Nad nim, mocno naciągnięta na prętach, wisiała moskitiera. Nie brakowało niczego.

Król miał także stolik, dwa fotele, a po obu stronach łóżka dywaniki. Na półce za łóżkiem leżały przybory do golenia: brzytwa, pędzel, mydło, żyletki, a obok nich talerze, filiżanki, maszynka elektryczna własnej roboty oraz garnki i sztucce. Na narożnej ścianie wisiało ubranie: cztery koszule, cztery pary spodni i cztery pary szortów. Na jeszcze jednej półce leżało sześć par skarpetek i tyleż kalesonów. Pod łóżkiem stały dwie pary butów, trepy do kąpieli i błyszcząca para czappali, jedwabnych hinduskich pantofli.

Król usiadł w fotelu i sprawdził, czy wszystko jest na swoim miejscu. Zauważył, że zniknął włos, który przed wyjściem położył na brzytwie. Świnie, pomyślał. Z jakiej racji mam się od nich zarazić jakąś francą! Nie odezwał się jednak ani słowem, odnotowując tylko w pamięci, że na przyszłość musi trzymać brzytwę pod kluczem.

– Cześć – rozległ się głos Texa. – Jesteś wolny?

Słowo „wolny” było hasłem i oznaczało: „Czy możesz przyjąć towar?”.

Król uśmiechnął się i skinął głową. Tex ostrożnie podał mu zapalniczkę.

– Dziękuję – powiedział Król. – Smakowała ci dziś moja zupa?

– Mowa – odparł Tex i odszedł.

Król bez pośpiechu obejrzał zapalniczkę. Zgodnie z zapewnieniem majora była jak nowa. Najmniejszej rysy. Zapalała się raz za razem. Była

też bardzo czysto utrzymana. Król odkręcił śrubkę i obejrzał kamień. Był to tani, miejscowy krzemień, już na wykończeniu, w związku z czym Król otworzył stojące na półce pudełko na cygara, wyjął z niego pojemniczek z kamykami do ronsona i wymienił stary kamień na nowy. Naciśnął dźwignię i buchnął płomień. Jeszcze tylko staranne wyregulowanie knota i gotowe. Zapalniczka nie była podrobiona, a więc warta na pewno osiemset, dziewięćset dolarów.

Z miejsca, gdzie siedział, Król widział młodego jeńca i Malajczyka. Ple-ple-ple, ple-ple-ple, usta nie zamykały im się ani na chwilę.

– Max! – zawołał cicho.

Max pośpiesznie przemierzył barak.

– Słucham? – spytał.

– Widzisz tego gościa? – powiedział Król, wskazując ruchem głowy za okno.

– Którego? Tego smolucha?

– Nie, tego drugiego. Przyprowadź go, co?

Max wysliznął się przez okno i przeszedł na drugą stronę ścieżki.

– Ty, jak ci tam – zwrócił się obcesowo do młodego jeńca. – Król chce z tobą rozmawiać. – Wskazał kciukiem barak. – I to raz-dwa.

Zagadnięty wytrzeszczył oczy na Maxa, a potem spojrział we wskazanym kierunku, na barak amerykański.

– Ze mną? – spytał z niedowierzaniem, patrząc znów na Maxa.

– Tak, z tobą – odparł zniecierpliwiony Max.

– Po co?

– A skąd, do cholery, mam wiedzieć.

Młody człowiek zmarszczył brwi i spojrział na Maxa chłodno. Pomyślał chwilę, po czym zwrócił się do Sulimana, Malajczyka, z którym rozmawiał, i powiedział:

– *Nanti-lah.*

– *Bik, tuan* – odparł Suliman, sadowiac się wygodniej do czekania, a potem dodał po malajsku: – Uważaj na siebie, *tuan*. I idź z Bogiem.

– Nie lękaj się, przyjacielu. Niemniej dziękuję ci za te słowa – odparł z uśmiechem jeniec. Podniósł się i ruszył do baraku za Maxem.

– Pan chciał się ze mną widzieć? – spytał, podchodząc do Króla.

– Cześć – powiedział z uśmiechem Król. W oczach przybysza dostrzegł czujność. Spodobało mu się to, bo czujne spojrzenie należało w Changi do rzadkości. – Siadaj.

Król dał Maxowi znak głową i ten odszedł. Ci, którzy byli w pobliżu, nie czekając, aż Król ich o to poprosi, odsunęli się na tyle, żeby mógł rozmawiać, wiedząc, że nikt go nie słyszy.

- Nie krępuj się, siadaj – powtórzył dobrotliwie.
- Dziękuję.
- Zapalisz?

Na widok prawdziwego papierosa, którym go częstowano, oczy gościa rozszerzyły się ze zdumienia. Zawahał się, a potem wziął papierosa. Zdumienie jego wzrosło, kiedy Król pstryknął ronsonem, ale usiłował je ukryć i zaciągnął się głęboko dymem.

– Dobry. Znakomity – powiedział, rozkoszując się papierosem. – Dziękuję.

- Jak się nazywasz?
- Marlowe. Peter Marlowe. A ty? – spytał ironicznie.

Król roześmiał się. Bardzo dobrze, pomyślał. Facet ma poczucie humoru i nie podlizuje się. Odnotował to sobie w pamięci i spytał:

- Jesteś Anglikiem?
- Tak.

Król nigdy przedtem nie zwrócił uwagi na Marlowe'a, ale przy dziesięciu tysiącach tak podobnych do siebie twarzy nie było w tym nic dziwnego. Przyglądał mu się w milczeniu, napotykał chłodne, badawcze spojrzenie niebieskich oczu.

– Nie ma tu lepszych fajek niż kooa – odezwał się wreszcie. – Oczywiście, nie umywają się do cameli. To papierosy amerykańskie. Najlepsze na świecie. Palileś kiedyś?

– Owszem, ale przyznam się, że dla mnie są nieco za suche. Wolę gold flaki – odparł Peter Marlowe, po czym dodał uprzejmie: – To zapewne kwestia gustu.

Znów zapadła cisza. Marlowe czekał, aż Król powie mu, o co chodzi. Czekając, myślał, że wbrew otaczającej Króla złej sławie, podoba mu się ten Amerykanin, podoba mu się przebłyskująca w jego oczach wesołość.

– Świetnie mówisz po malajsku – powiedział Król, wskazując ruchem głowy czekającego cierpliwie Malajczyka.

- Tak, chyba nie najgorzej.

Król miał ochotę przekląć tę typową angielską powściągliwość, ale powstrzymał się.

- Tutaj się nauczyłeś? – pytał cierpliwie dalej.
- Nie. Na Jawie – odparł Marlowe i po chwili wahania rozejrzał się.
- Nieźle się tu urządziłeś.
- Lubię wygodę. Jak ci się siedzi w tym fotelu?
- Dobrze.

Po twarzy Marlowe’a przemknęło zdziwienie.

- Dałem za niego rok temu osiem dych – oznajmił z dumą Król.

Peter Marlowe spojrział szybko na Króla, żeby sprawdzić, czy to podanie prosto z mostu ceny miało być żartem, ale nie dostrzegł nic prócz zadowolenia i nie skrywanej dumy. Zdumiewające, żeby o czymś takim mówić nieznanemu.

- Jest bardzo wygodny – rzekł z lekkim zakłopotaniem.
- Zrobię sobie coś do żarcia. Zjesz ze mną?
- Dopiero co jadłem... obiad – odparł powściągliwie Marlowe.
- Na pewno jeszcze byś coś zjadł. Może jajko?

Tym razem, nie mogąc już dłużej ukryć zdumienia, Marlowe wytrzeszczył oczy. Król uśmiechnął się i pomyślał, że choćby tylko dla tej reakcji warto było zrobić taką propozycję. Ukląkł przy czarnej skrzynce i ostrożnie przekręcił klucz w zamku. Marlowe w osłupieniu wpatrywał się w jej zawartość. Pół tuzina jaj, woreczki z kawą. W szklanych słoikach wschodni przysmak *gula malacca*, rodzaj scukrzonego irysa. Banany. Co najmniej pół kilograma jawajskiego tytoniu. Z dziesięć albo więcej paczek papierosów kooa. Słój ryżu. I jeszcze jeden słój z fasolą *katchang idju*. Olej. Przeróżne smakołyki zawinięte w bananowe liście. Nie pamiętał, kiedy widział naraz tyle skarbów.

Król wyjął olej i dwa jajka, po czym zamknął skrzynkę na klucz. Kiedy podniósł wzrok na Marlowe’a, zobaczył, że do jego oczu powróciła czujność, a twarz miał opanowaną.

- Jakie wolisz jajko? Sadzone?
- Właściwie to nie bardzo wypada mi je przyjąć – odparł Marlowe. Mówienie przychodziło mu z trudem. – Nikt nie częstuje jajkami ot tak sobie.

Król uśmiechnął się. Był to miły uśmiech, który wzbudził sympatię Marlowe’a.

- Drobiazg. Potraktujemy to jako „zamorską pomoc Wujka Sama”, rodzaj pożyczki.

Anglik zacisnął szczęki, a jego twarz przez moment wyrażała irytację.

– Co się stało? – spytał natychmiast Król.

– Nic – odparł Marlowe po chwili. Popatrzył na jajko. Swoje przydziałowe miał otrzymać dopiero za sześć dni. – Jeżeli nie sprawi ci to różnicy, wolę sadzone.

– Już się robi – rzekł Król. Wiedział, że popełnił jakiś błąd, gdyż irytacja Anglika nie była udana. Dziwni są ci obcokrajowcy, pomyślał. Nigdy nie można przewidzieć, jak na coś zareagują. Postawił maszynkę elektryczną na stole i włożył wtyczkę do gniazdka.

– Pełna kultura, no nie? – powiedział żartobliwie.

– Owszem.

– To Max mi ją podłączył – wyjaśnił Król i wskazał głową na drugi koniec baraku.

Marlowe podążył oczami za jego spojrzeniem. Czując na sobie czyjś wzrok, Max uniósł głowę i spytał:

– Potrzebujesz czegoś?

– Nie – odparł Król. – Opowiadam właśnie, jak podłączyłeś maszynkę do prądu.

– Ach tak. Działa jak trzeba?

– Jasne.

Peter Marlowe wstał, wychylił się przez okno i zawołał po malajsku:

– Proszę, nie czekaj już na mnie, Sulimanie. Zobaczymy się jutro.

– Dobrze, *tuan*, pokój z tobą.

– I z tobą – odparł Marlowe, uśmiechnął się i usiadł z powrotem. Suliman oddalił się.

Król zrećnie rozbił jajka i rzucił na rozgrzany olej. Kolor żółtek był intensywnie złocisty, a otaczające je galaretowate białko, sycząc w wysokiej temperaturze, zaczęło się ścinać. Cały barak wypełniło skwierczenie smażonych jaj. Wypełniło myśli, pragnienia, pobudziło wydzielanie soków trawiennych. Ale nikt się nie odezwał ani nie poruszył. Z wyjątkiem Texa, który zmusił się, żeby wstać i wyjść z baraku.

Wielu przechodzących drogą poczuło smakowity aromat i od nowa zniechęciło Króla. Zapach powędrował z boku do dołu, do baraku żandarmerii. I Grey, i Masters od razu wiedzieli, skąd pochodzi.

Czując przypływ mdłości, Grey wstał i podszedł do drzwi. Zamierzał obejść obóz, żeby uciec przed zapachem, jednak zmienił zamiar i odwróciwszy się, rzekł:

– Chodźcie, sierżancie. Odwiedzimy Amerykanów. Mamy świetną okazję, żeby sprawdzić meldunek Sellarsa!

– Dobrze – powiedział Masters, którego dolatujący zapach niemal przyprawiał o mdłości. – Przeklęty drań, mógłby przynajmniej smażyć przed obiadem, a nie tuż po, kiedy do kolacji jest jeszcze pięć godzin.

– Amerykanie są dziś na drugą zmianę, więc jeszcze nie jedli.

Tymczasem w baraku amerykańskim powrócono do przerwanych czynności. Dino starał się zasnąć, Kurt szył, wznowiono grę w pokera, a Miller i Byron Jones Trzeci podjęli swoją nie kończącą się partię szachów. Ale skwierczenie zniszczyło emocje związane z małym pokerem, Kurt ukłuł się igłą w palec i zaklął soczyście, Dina opuściła senność, a Jones patrzył z przerażeniem, jak Miller zabiera mu królową nędznym, parszywym pionkiem.

– Jak Boga kocham, żeby tak zaczęło padać – powiedział zduszonym głosem Jones.

Nikt się nie odezwał, bo też nikt nic nie słyszał oprócz wypełniających barak trzasków i posykiwań.

Król również był skupiony – nad patelnią. Chlubił się, że nikt nie potrafi lepiej od niego usmażyć jaj. Uważał, że sadzone jajko należy smażyć z wyczuciem artysty, nie za wolno, ale i bez zbytniego pośpiechu. Podniósł wzrok i uśmiechnął się do Marlowe’a, ale oczy Anglika wlepione były w jajka.

– Mój Boże – rzekł cicho Marlowe, i nie było to przekleństwo, ale błogosławieństwo. – Co za zapach!

Król poczuł zadowolenie.

– Poczekaj, aż skończę – powiedział. – Wtedy zobaczysz takie jajka, jakich w życiu nie widziałeś. – Popieprzył lekko jaja, a potem je posolił. – Lubisz gotować? – spytał.

– Tak – odparł Marlowe, z trudem rozpoznając własny głos. – W mojej grupie najczęściej ja przygotowuję jedzenie.

– Jak lubisz, żeby się do ciebie zwracano? Pete? Peter?

Marlowe ukrył zdziwienie. Tylko wypróbowani, zaufani przyjaciele zwracają się do siebie po imieniu – jakże inaczej odróżnić przyjaciół od znajomych? Spojrzał na Króla, lecz nie dostrzegł w jego twarzy nic prócz życzliwości, więc, wbrew samemu sobie, odpowiedział:

– Peter.

– Skąd jesteś? Gdzie mieszkasz?



Wciąż mnie wypytuje, pomyślał Marlowe. Za chwilę spyta, czy jestem żonaty albo ile mam na koncie w banku. Przyszedł na wezwanie Króla z ciekawości, teraz jednak był gotów przekląć siebie za to, że jej nie poskromił. Wspaniały widok skwierczących jaj ułagodził go jednak.

– W Portchester – odpowiedział. – To taka mała miejscina na południowym wybrzeżu. W hrabstwie Hampshire.

– Jesteś żonaty, Peter?

– A ty?

– Nie.

Król pytałby dalej, ale jajka były już gotowe. Zdjął więc patelnię z maszynki i skinął na Marlowe'a.

– Talerze są za twoimi plecami – powiedział, a potem dodał z nie-małą dumą: – Klasa!

Peter Marlowe w życiu nie widział równie wspaniałych sadzonych jaj, obdarzył więc Króla największym komplementem, na jaki stać Anglika.

– Niezłe, słowo daję, całkiem niezłe – oświadczył bezbarwnym tonem i spojrzał na Króla z miną równie obojętną jak głos, wzmacniając tym sposobem pochwałę zawartą w słowach.

– O czym ty, do diabła, gadasz, skurwysynu! – wykrzyknął rozwścieczony Król. – W życiu nie widziałeś lepszych jajek!

Marlowe zaniemówił, w całym baraku zapadła grobowa cisza. Wtem w znieruchomiałym powietrzu rozległ się gwizd. Dino i Miller natychmiast poderwali się i popędzili w stronę Króla, a Max stanął na straży w drzwiach. Miller i Dino wepchnęli łóżko Króla do kąta, podnieśli z podłogi dywaniki i wcisnęli je pod siennik. Potem przysunęli do łóżka Króla sąsiednie prycze, na taką odległość, żeby wyglądało, iż dysponuje on, tak jak wszyscy w Changi, powierzchnią o wymiarach metr dwadzieścia na metr osiemdziesiąt. W drzwiach stanął porucznik Grey, a o dobry krok za nim sierżant Masters.

Amerykanie wpatrywali się w Greya i dopiero po chwili, kiedy już dali mu do zrozumienia, co o nim myślą, wstali. Upłynęła równie obraźliwa chwila, zanim Grey zasalutował i dał „spocznij”. Jeden jedyny Marlowe nie ruszył się z miejsca i nadal siedział w fotelu.

– Wstań! – syknął Król. – Wstań, bo cię załatwi na amen!

Doświadczenie nauczyło go rozpoznawać, kiedy Grey jest podniecony. Tym razem Grey nie jego świdrował wzrokiem, lecz wbił nieruchome spojrzenie w Marlowe'a. Patrzył tak, że nawet Król się wzdrygnął.

Grey bez pośpiechu przemierzył barak i zatrzymał się tuż przy siedzącym Marlowie. Oderwał od niego wzrok i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w usmażone jajka. Potem spojrzął na Króla i znów na Marlowe'a.

– Daleko odeszliśmy od własnego baraku, prawda, Marlowe?

Peter Marlowe wyjął pudełko po papierosach i wysypał z niego trochę tytoniu na liść trawy rotangowej. Potem skręcił lejkowatego papierosa i podniósł go do ust. Przeciągające się milczenie było dla Greya jak policzek.

– Czy ja wiem, drogi kolego... – odezwał się Marlowe cicho. – Anglik jest u siebie, gdziekolwiek się znajduje.

– Gdzie opaska na rękę?

– Za pasem.

– Należy ją nosić na rękę. Taki jest regulamin.

– Japoński regulamin. A mnie się japoński regulamin nie podoba – odparł Marlowe.

– To jest także regulamin obozowy.

Rozmawiali zupełnie spokojnie i Amerykanie wyczuwali w ich głosach zaledwie cień irytacji, ale Grey i Marlowe wiedzieli swoje. I nagle wypowiedzieli sobie wojnę. Marlowe nienawidził Japończyków, a Grey był dla niego ich przedstawicielem, ponieważ to on pilnował, czy w obozie przestrzega się obowiązującego regulaminu japońskiego, i robił to bezlitośnie. Poza tym dzieliła ich jeszcze głębsza nienawiść, wrodzona nienawiść klasowa. Marlowe był świadom, że Grey nienawidzi go za jego pochodzenie, sposób mówienia, za to, czego pragnął nade wszystko i czego nigdy mieć nie mógł.

– Proszę ją włożyć! – nakazał Grey, do czego miał pełne prawo.

Marlowe wzruszył ramionami, wyciągnął opaskę i nasunął ją na lewy łokieć. Na opasce widniał jego stopień wojskowy: kapitan lotnictwa, RAF.

Król wytrzeszczył oczy. O rany, oficer, pomyślał. A ja chciałem go prosić, żeby...

– Przepraszam, że przeszkadzam w obiedzie – mówił Grey – ale coś komuś zginęło.

– Zginęło? – powtórzył Król. Chryste! Ronson! omal nie zawołał na głos. Boże! Pozbyć się tej przeklętej zapalniczki, krzyczał w nim strach.

– Co się stało, kapralu? – spytał Grey, widząc perlące się na twarzy Króla krople potu.

– Gorąco dziś – odezwał się Król słabym głosem.

Czuł, jak wykrochmalona koszula mięknie na nim od potu. Zrozumiał, że padł ofiarą intrygi. Zrozumiał też, że Grey bawi się z nim jak kot z myszą. Zastanawiał się gorączkowo, czy starczyłoby mu odwagi, żeby rzucić się do ucieczki, ale między nim a oknem siedział Peter Marlowe i Grey z łatwością by go schwytał. Zresztą uciec oznaczałoby przyznać się do winy. Wisząc tak pomiędzy życiem a śmiercią, widział poruszające się usta Greya.

– Co pan powiedział, panie poruczniku? – spytał. Tym razem „panie poruczniku” nie zabrzmiało obelżywie. Król wpatrywał się w Greya, nie dowierzając własnym uszom.

– Powiedziałem, że pułkownik Sellars zameldował o kradzieży złotego pierścienia! – złowieszczo powtórzył Grey.

Królowi aż zakręciło się w głowie. A więc to nie ronson! Niepotrzebnie panikowałem! To tylko ten cholerny pierścień Sellarsa, myślał. Sprzedał go trzy tygodnie temu, zresztą z niezłym zyskiem. A więc Sellars zameldował o kradzieży! Kłamliwy skurwysyn.

– No proszę – powiedział z nutką wesołości w głosie. – No proszę, a to ci pech. Ktoś ukradł pierścień. Nie może być!

– Dla mnie może. A dla was nie? – rzekł szorstko Grey.

Król nic na to nie odpowiedział. Ale miał wielką ochotę uśmiechnąć się. Wcale nie chodzi o zapalniczkę! Jestem bezpieczny!

– Znacie pułkownika Sellarsa? – spytał Grey.

– O tyle, o ile, panie poruczniku. Grałem z nim parę razy w brydża – odparł Król, całkiem już spokojny.

– Czy pułkownik pokazywał wam pierścień? – pytał nieustępliwie Grey.

Król starannie odtworzył w pamięci przebieg wypadków. Pułkownik Sellars pokazał mu pierścień dwukrotnie. Raz, kiedy prosił go o pośrednictwo w sprzedaży, a drugi raz, kiedy Król poszedł go zważyć.

– Ależ skąd, panie poruczniku – odparł niewinnym głosem. Wiedział, że nic mu nie grozi. Świadków nie było.

– Na pewno nigdy nie widzieliście tego pierścienia?

– Ależ skąd, panie poruczniku.

Grey poczuł nagle, że ma serdecznie dosyć tej zabawy w kota i mysz, a nieprzeparta ochota na jajka sprawiła, że aż go zemdlilo z głodu. Gotów był zrobić wszystko, dosłownie wszystko, żeby dostać choć jedno z nich.

– Grey, przyjacielu, czy ma pan ogień? – spytał Marlowe. Nie miał przy sobie swojej malajskiej zapalniczki, a musiał zapalić. Koniecznie. Niechęć do Greya wysuszyła mu usta.

– Nie.

Sam sobie zapal, pomyślał ze złością Grey, zabierając się do odejścia. W tym momencie usłyszał, jak Marlowe zwraca się do Króla:

– Mógłbyś mi użyzyć swojego ronsona?

Obrócił się ku nim powoli. Peter Marlowe uśmiechał się do Króla. Jego słowa jak wryte zawisły w powietrzu, a potem rozbiegły się, docierając do każdego zakątka baraku.

Przeżony Król, chcąc za wszelką cenę zyskać na czasie, zaczął szukać zapalek.

– Masz go w lewej kieszeni – podpowiedział Marlowe.

W tej jednej chwili Król żył, umarł i narodził się na nowo. Mieszkańcy baraku wstrzymali oddech. Mieli być świadkami upadku Króla. Mieli być świadkami tego, jak Król zostaje schwytany, zabrany i uwięziony, a więc czegoś, co się nie mieściło w głowie. A jednak mieli przed sobą Króla, Greya i tego człowieka, który wydał Króla i złożył go jak baranka na ołtarzu ofiarnym Greya. Niektórzy byli przerażeni, inni rozkoszowali się tą perspektywą, jeszcze inni współczuli Królowi, a Dino pomyślał ze złością: Psiakrew, jutro ja miałem pilnować skrzynki!

– Jak to, kapralu, nie podacie panu kapitanowi ognia? – spytał Grey. Nie czuł już głodu, a tylko wewnętrzne ciepło. Wiedział przecież, że w spisie rzeczy Króla nie figuruje zapalniczka marki Ronson.

Król wyjął zapalniczkę i podał ogień Marlowe’owi. Płomień, którym miał ochotę go spalić, płonął równo i jasno.

– Dziękuję – powiedział Marlowe, uśmiechnął się i dopiero wtedy zdał sobie ze wszystkiego sprawę.

– No tak – powiedział Grey, biorąc zapalniczkę do ręki. Zabrzmiało to majestatycznie, nieodwołalnie, groźnie.

Król milczał, bo cóż mógł powiedzieć. Po prostu czekał. Teraz, kiedy go przyłapano, nie bał się i tylko przeklinał własną głupotę. Mężczyzna przegrywający przez własną głupotę nie ma prawa nazywać się mężczyzną. Nie ma też prawa być Królem, bo Królem jest zawsze ten, kto jest najsilniejszy, najsilniejszy nie tylko dzięki samej sile, ale dzięki sprytowi, sile i szczęściu.

– Skąd to macie, kapralu? – spytał słodkim głosem Grey.

Peter Marlowe czuł, że się w nim wszystko burzy. Przez chwilę walczył gorączkowo z myślami, aż wreszcie powiedział:

– To moja zapalniczka. – Wiedząc, że zabrzmiało to jak kłamstwo, czym w istocie było, dodał pośpiesznie: – Graliśmy w pokera. Przegrałem ją. Tuż przed obiadem.

Grey, Król i pozostali wlepili w niego oszołomiony wzrok.

– Co takiego? – spytał Grey.

– Przegrałem ją – powtórzył Marlowe. – Graliśmy w pokera. Miałem sekwens. Sam mu opowiedz – dodał prędko, przerzucając na Króla konieczność wyjaśnień, żeby go wypróbować.

Król nie zdążył jeszcze zebrać myśli, ale refleks miał dobry. Otworzył usta i powiedział:

– Graliśmy właśnie w studa. Miałem fula i...

– Jakiego?

– Asy na dwójkach – wtrącił bez zastanowienia Marlowe. W myśli zadawał sobie pytanie: Do diabła, co to jest stud!

Król drgnął, mimo że wspaniale panował nad sobą. Miał właśnie powiedzieć: „króle na damach”, i był świadom, że Grey zauważył jego wzdrygnięcie.

– Kłamie pan, Marlowe!

– Ależ kolego Grey, jak pan może! – rzekł Marlowe, grając na zwłokę. A myślał: Cholera, co to jest stud! – Żał było patrzeć – powiedział, znajdując swoistą przyjemność w strachu przed wielkim niebezpieczeństwem. – Zdawało mi się, że już go mam. Miałem sekwens. Dlatego postawiłem zapalniczkę. Sam mu opowiedz – zwrócił się prędko do Króla.

– A jak się gra w studa, Marlowe?

Zapadła cisza. Przerwał ją grzmot, który przetoczył się gdzieś za horyzontem. Król otworzył usta, ale Grey nie dał mu dojść do słowa.

– Pytałem Marlowe’a – rzekł z pogrózką w głosie.

Marlowe był bezbronny. Spojrzał na Króla i choć jego oczy niczego nie wyrażały, Król zrozumiał.

– Chodź, pokażemy – zaproponował szybko Marlowe.

Król natychmiast sięgnął po karty i powiedział bez wahania:

– Moja karta w dołku...

Grey z wściekłością obrócił się do niego.

– Mówiłem, że pytam Marlowe’a. Jeszcze jedno słowo, a zaaresztuję was za utrudnianie pracy przedstawicielowi prawa.

Król milczał i tylko modlił się w duchu, żeby to, co powiedział, okazało się wystarczającą wskazówką.

Wyrażenie „karta w dołku” zabrzmiało w uszach Marlowe’a jakby znajomo. I nagle wszystko sobie przypomniał. Wiedząc już, na czym polega gra, zaczął się bawić z Greyem.

– No więc... – wycodził z zakłopotaniem – to taka odmiana pokera, jak każda inna.

– Chcę usłyszeć, jak się w to gra – ponaglał Grey, sądząc, że przyłapał ich wreszcie na kłamstwie.

Marlowe obrzucił go kamiennym spojrzeniem, myśląc o stygnących jajkach.

– Co pan właściwie chce udowodnić, Grey? Każdy głupi wie, że są to cztery karty i jedna zakryta, czyli w dołku.

Przez barak przebiegło westchnienie ulgi. Grey zrozumiał, że jest bezsilny. Jego słowo stanęłoby przeciw słowu Marlowe’a, a nawet tu, w Changi, samo słowo porucznika żandarmerii to za mało.

– Faktycznie. Każdy głupi wie – rzekł ponuro, spoglądając to na Króla, to na Marlowe’a. Zwrócił Królowi zapalniczkę.

– Dopilnujcie, żeby ją umieszczono w spisie.

– Tak jest, panie poruczniku.

Teraz, kiedy było już po wszystkim, Król nieznacznie dał po sobie poznać, jak mu ulżyło. Grey po raz ostatni spojrział na Marlowe’a, a spojrzenie to wyrażało zarówno obietnicę, jak i groźbę.

– Pańska szacowna szkoła, do której pan chodził, byłaby dziś z pana bardzo dumna – rzekł z pogardą, po czym ruszył do wyjścia, a za nim powłóczący nogami Masters.

Peter Marlowe odprowadził Greya spojrzeniem, a kiedy ten znalazł się przy drzwiach, nie odrywając od niego wzroku, zwrócił się do Króla odrobinę głośniejszym głosem, niż było trzeba.

– Podaj mi swoją zapalniczkę, skręć mi zgaś.

Ale Grey nie zmylił kroku ani się nie obejrzał. Co za człowiek, pomyślał ponuro Marlowe. Jakie nerwy... Dobrze mieć kogoś takiego u boku, kiedy się walczy na śmierć i życie. A jako wroga trzeba doceniać.

Wśród naelektryzowanej ciszy Król osunął się na fotel, a Marlowe wyjął zapalniczkę z jego zwiotczalej dłoni i zapalił papierosa. Król wymacał machinalnie paczkę kooa, wetknął jednego między wargi i trzymał go tak, bez czucia. Marlowe nachylił się i podał mu ogień. Długo trwało,

zanim Król zobaczył wyraźnie płomień, a wtedy zauważył, że ręce Marlowe'a trzęsą się tak samo jak jego. Rozejrzał się po baraku: ludzie siedzieli nieruchomo jak posągi, z wlepionym w niego wzrokiem. Ramiona miał zlane zimnym potem i czuł, że przemokła mu koszula.

Z zewnątrz dobiegł brzęk naczyń. Dino wstał i wyjrzał z nadzieją.

– Żarcie! – zawołał uszczęśliwiony. Napięcie prysło i Amerykanie opuścili barak, zabierając ze sobą naczynia i sztucce. Peter Marlowe i Król zostali sami.